

Czapski, Michał

Wspomnienia z Gimnazjum Zana (1930-1934) : część III i ostatnia

Przegląd Pruszkowski nr 1, 41-47

1987

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wspomnienia z Gimnazjum Zana (1930 — 1934)

CZĘŚĆ III I OSTATNIA

Byliśmy wtedy w szóstej klasie. Był taki dzień, wczesną wiosną — jeszcze przed przylotem ptaków, kiedy Werpachowski miał pilne zajęcia w kancelarii i, zamiast niego, na lekcji zjawił się chudziutki, o nikłej postaci, świeżo upieczony młody magister filozofii. Nazywał się, tak trochę z tatarską, Stochlak, na imię miał Władysław (zm. 1977 roku). Chodził pomiędzy rzędami stolików, w garniturku o barwie blado-granatowej, i mówił z wielkim przejęciem o wstrząsających wydarzeniach na tle religijnym w szesnastowiecznej Europie i niezmiernym ich znaczeniu. Nie wszystkim, pamiętam, oświeetlenie dziejów w ujęciu jego odpowiadało. Może sprawiło to zbyt silne stawianie akcentów na pewnych zdarzeniach, albo też — spojrzenie na działalność pewnych instytucji wydawało się niektórym mało obiektywne... Dość, że spotkał się z pewnym sprzeciwem wśród chłopaków, bądź co bądź już zaprawionych w różnych dyskusjach lekcyjnych. Z tym i owym nie mógł pogodzić się Stasiiek Włodarczyk, Szczególnie drażnił go przymiotnik „niezmierny”. Podejmowane jednak dyskusje ze Stochlakiem kończyły się jego triumfem, — rzeczywiście „niezmiernie” górował nad sześcioklasistami. Zdawałoby się, miażdżące argumenty kolegów natrafiały na solidne przygotowanie absolwenta uniwersytetu i odbijały się od jego edukacji jak od pancerza.

Nie było innej rady! Trzeba było młodemu historykowi przeciwstawić kogoś mocniejszego. Chłopaki pobiegli do ósmej klasy i sprowadzili Władka Konopnickiego (1912—1984), najbogiejszego w całej szkole humanistę. „Oto, Panie Profesorze, niezwykle uczony w piśmie przedstawiciel naszej szkoły...” Stochlak patrzył z dołu na wyższego prawie o pół głowy Władka i odrazu, z dużą swobodą, wpadł w ten ton wielce żartobliwy, parodiując zwroty wielkich humanistów wędrujących niegdyś po szlakach kultury europejskiej: „a sława Pańska sięga daleko...?” I odrazu atmosfera przerodziła się w przedziwnie swojską i rozmowa —

zamiast dotykać wielkich problemów trapiących ludzkość — potoczyła się około różnych trudności z przyswajaniem sobie wiedzy i w ogóle uczniowskiego bytowania. Władek, tak jak i Horbaczewski, Marian Hawryłkiewicz, Mateusik, Franek Jezierski, Giewiałtowski i kilku kolegów, mieszkał w bursie dla dzieci zagubionych w zawierusze wojennej, mieszczącej się przy ulicy Narodowej.

* * *

Na ustnym egzaminie maturalnym z historii, w roku 1932-gim, pomiędzy Dyrektorem a Horbaczewskim wywiązał się następujący dialog...

„No, Horbaczewski, jak ty myślisz, co my importujemy z Sowietów?”

„Różne towary.”

„Wiadomo, że różne towary, ale co przede wszystkim?”

„Przed wszystkim, przede wszystkim...”

„No, pomyśl... Horbaczewski! co ty nosisz w zimie?”

Horbaczewski, zimą i jesienią odziany zwykle w jesieniczną wiatrem podszytą, nie śmiał powiedzieć, że nosi palto. Brzmiałoby to może zbyt szumnie, wyjąkał więc... „paletko.”

„Paletko... powiadasz — zaczynał się niecierpliwić Dyrektor — paletko to ty nosisz! ale co ludzie noszą?”

„Futra, Panie Dyrektorze!” — triumfalnie zawołał abiturient.

„O, o... futra, naturalnie futra! — uspokoił się Dyrektor.

* * *

Woźnych gimnazjalnych we wspomnieniach przedstawia się jako starszych wąsali, majestatycznie przechadzających się po korytarzach i pobłaźliwie przyglądających się wybrykom uczniów. O, nie taki był nasz woźny Stanisław! Młody, niepozorny, w mundurku koloru marengo przesuwiał się bezszelestnie pod ścianami, najczęściej odwiedzał szatnię. Tajemniczy i skupiony podchodził do któregoś z uczniów, cicho szepcząc: „mam dziś czekoladowe, prosto z hurtowni.” Ten pokątny, drobny handelek to było tylko dalekie echo dawnych jego sukcesów na polu handlu i przemysłu spożywczego. „Pan wie, kim ja byłem...? — fabryka makaronów, Kacza 7, dwunastcie okien frontu (tkwił w epoce, kiedy wartość posesji zależała od szerokości frontu). Towar szedł na cały kraj. Nieustannie w ruchu, telefony z różnych stron, — interesy to tu, to tam. Używałem slipingu wyłącznie pierwszej klasy, przerzucałem się z pociągu na pociąg.”

Na taką chwilę zwierzeń nie zawsze się trafiło, — trzeba było odrobiny szczęścia. Szczęśliwym słuchaczem mógł stać się ktoś marudzący w szatni, kiedy było pusto i cisza panowała wokół. Nie mówił, jakie okoliczności zagnały go, niegdyś bogatego kupca i producenta, do sprzę-

tania sal lekcyjnych. Swoją drogą, fantazji to nam Polakom nie brakuje. Nic dziwnego, że Anglicy naszych dzielnych chłopaków — podczas drugiej wojny światowej — nazywali landlordami.

* * *

Cienką strużką płynęła nasza szkolna prasa uczniowska. Pamiętam z początków trzydziestego roku gazetkę, bodajże w formacie A-4, w sedynowej oprawie. Były tam m.in. zamieszczane wspomnienia maturzysty. Drukowana była normalnymi czcionkami zecerskimi i wydawali ją koledzy ze starszych klas. Znacznie skromniej przedstawiało się pisemko, które zaczęło się ukazywać późną jesienią 1931 roku, odbijane z ręcznie pisanych arkuszy jakąś tam techniką odpustową. Redaktorem naczelnym był Maniek Łukasik i wypełniał stałą kronikę „na czasie”. Z kolei Stasio Kiffer i Miron Cichecki przepisywali do tej gazetki z jakichś starych książek i zapomnianych kalendarzy różne kawałki i żalili się, że materiał im się wyczerpuje i nie ma skąd brać... Po pewnym czasie zmodernizowano szatę graficzną gazetki, dużo się w niej zmieniło, — podparł ją Żukrowski mrozzącymi krew (w żyłach) opowieściami grozy, a więc... strzały w samotnej willi o północy (strzelały w piwnicy korki od butelek ze sfermentowanym sokiem pomidorowym).

Wegetowały jakoś te szkolne pisemka. Nieco później, przechodziliśmy wtedy kurs siódmej klasy, a więc był to rok 1932 a może i 1933-ci, zaczął wychodzić ogólnogimnazjalny miesięcznik „Kuźnia Młodych” — pismo o niemałych ambicjach i publicystycznych i literackich, a nawet plastycznych. U nas pierwszy zaczął lansować „Kuźnię Młodych” Sokorski. Wstępne artykuły, będące jakby wyznaniem wiary tego lewicującego organu, redagował między innymi Jerzy Mazurkiewicz. Był to szczupły, raczej wysoki chłopak, uważnie patrzący z za rogowych okularów; z Pruszkowa dojeżdżał do jakiegoś gimnazjum w Warszawie. Siłą rzeczy, przy „Kuźni Młodych” zblednąć musiały wszelkie lokalne pisemka. — jak kolektor wchłaniania wysiłek początkujących dziennikarzy i literatów.

* * *

W czasach pomiędzy dwiema wojnami sport pływacki w kraju naszym słabo był rozwinięty. Mogliśmy konkurować zaledwie z Czechosłowacją, no i z Austrią. Daleko w tyle byliśmy za czołówką światową, którą reprezentowały Węgry, Stany Zjednoczone, Japonia. Jedynym u nas pływakiem w skali, powiedzmy, europejskiej był Kazimierz Bocheński z warszawskiego AZS-u, dzierżący aż do wojny mistrzostwo Polski na 100 metrów stylem dowolnym. Bocheński był synem b.ufetowej ze stacji Pilawa i pływać chyba nauczył się w maleńkim stawku, usytuowanym obok budynku stacyjnego.

Współcześnie pływacy nasi uczestniczą nawet w olimpiadach, o czym przed wojną nie było mowy. Za to, jeśli chodzi o samo utrzymanie się na wodzie, bez osiągania specjalnych wyników, to przed wojną ludzie nie umiejący pływać należeli do rzadkości i wypadków utonięcia było mniej niż dzisiaj, mimo że dostęp do wody nie był tak strzeżony. Do dziś dnia najszybszym stylem jest kraul, zapożyczony od Polinezyjczyków. W Pruszkowie kraulem pływał jedynie Zbyszek Nawrocki, brat naszego kolegi Daniela, i jeszcze ktoś... Nie lepiej było w Żyrardowie, Grodzisku, Brwinowie. Natomiast w małym Milanówku (trzy tysiące mieszkańców) kraulistów było przynajmniej dziesięciu.

Gdzie pływano...? Milanowskie baseny miały formę kwadratu lub prostokąta. Bardzo ładny basen, o drewnianej obudowie, otwarto pod koniec lat trzydziestych w Żyrardowie. Bezkonkurencyjne jednak były wyrobiska po glinie, z bezpłatną kąpielą, których pełno było w okolicach Warszawy. Zwano je gliniankami, lub — jeszcze pospoliej — glinkami. Było to charakterystyczne zjawisko dla niekiedy mazowieckiej, gdzie pod pokładami glin czy ilów zalegają grunty wodonośne. Przebiecie warstwy spoistego gruntu powoduje wybijanie się spod niego wody, będącej dotąd pod ciśnieniem. I niebawem w terenie zupełnie suchym zjawiał się zbiornik wody, której poziom często nie wiele był niżej wierzchu gruntu. Uczniowie od Zana najchętniej używali kąpeli w gliniankach Helenowskich, po których ślad wszelki zginął. Największe z glinianek były Komorowska i tzw. Jezioro. Pierwsza leżała na południe od Pruszkowa, za torami kolejki EKD, przed osadą letniskową Komorów, druga w trójkącie Błonie—Milanówek—Grodzisk, obok wsi Chrzanów. Glinianka Komorowska miała wysokie brzegi, dobre przy skokach do wody, natomiast wody Jeziora podchodziły tuż pod łąki i błyszczały zza krzewów jak kawałek obłoku. Te relikty po wędrującym przemysle ceramicznym były pospolitymi kąpieliskami dla młodzieży i dla braci robotniczej, właściwie to i miejscami spotkań towarzyskich. Nierzadko odbywały się tam różne popisy zręcznościowe.

Zdumiewające są ambicje sportowe młodych ludzi, — z perspektywy lat wydają się czymś zgoła absurdalnym. Pamiętam nieustające wyścigi z Lolkiem Teligą — ile kto razy więcej przepłynie gliniankę.

* * *

Z różnym szczęściem dobrnęliśmy do ósmej klasy i, żegnając się z naszym dotychczasowym wychowawcą, zacnym historykiem Werpachowskim, weszliśmy w strefę zagadnień bieżących i dzieje powszechne zastąpiła nauka o Polsce współczesnej, ujęta w zwięzłym podręczniku Franciszka Bujaka, Jana Stanisława Bystronia i Antoniego Peretiatkowicza. Pierwsza lekcja tego przedmiotu była nader ożywcza, jak by powiało od pól i łąk. Nowy wykładowca, Marian Trojan był ze szkoły Batorego, gdzie w młodszych klasach uczył historii; poza pracą peda-

gogeniczną parał się sztuką aktorską — grał w teatrze „Ateneum”. Coś było orzeźwiającego w tym prosto trzymającym się człowieku o szerokiej twarzy z silnie wystającymi kośćmi policzkowymi i długimi włosami, włączającymi na kołnierż. Mówił z zapałem i z wielkim pośpiechem, przedłużając z chłopską literą „o”. Długo miejsca u nas nie zagrzał... Niezwykle było jego poezgnanie. Kończąc ostatnią lekcję, życzył nam szczęścia podczas egzaminu maturalnego. Ale Janek Makowski (nie mylić z profesorem matematyki o tym samym imieniu i nazwisku) nie pozwolił mu tak zaraz odejść. W pięknych i wzruszających słowach zegnał tak krótko przez nas widzianego człowieka: „może będziemy mieli sposobność wyrazić niejedną raz podziw dla Pana Profesora w teatrze długo nie milknącymi oklaskami...” Trojan był poruszony. Próbował odpowiadać, lecz głos mu się łamał. Niejedną raz jeszcze spotykałem się z jego nazwiskiem — grał w filmie „Wisła” karczmarza, wyróżniono go w konkursie „Pionu” (przedwojenny tygodnik literacki) na nowelę, było też zdjęcie w miesięczniku „Wici”, organie Zw. Młodzieży Wiejskiej Rzeczypospolitej Polskiej, na którym widać siedzącego na krzesełku Stefana Jaracza i za nim stojących... Trojana i prozaika Wincentego Burka.

Życie nie znosi pustki. W czasie następnej lekcji odbyła się introdukcja nowego profesora. Dyrektor Ostrowski przedstawił nam bardzo wysokiego i szczupłego młodzieńca, o złocistych włosach, co chwila piekącego raka... Stanisław Herbst (1907—1973)², bo on to był, zdążył już obronić pracę doktorską na Uniwersytecie Warszawskim. Prowadził studia nad założeniami obronnymi i z racji tej współpracował z katedrą architektury polskiej na Politechnice Warszawskiej, z profesorem Oskarem Sosnowskim i jego asystentem Bohdanem Gerquen'em. Ten nieśmiały, pozornie niepewnie i niezbyt głośno mówiący doktor filozofii, z niezwykłą swobodą obracał się w rozległej dziedzinie historii gospodarczej, dziejach kultury i oręża polskiego; mówił i o genezie różnych kultur ludowych. Delikatnie, acz bardzo skutecznie eliminował z naszych głów różne zlepki pojęć historiozoficznych, wpojonych nam przez przypadkowych rozmówców czy publicystów. No, rozbiła się teraz cała bania nauki. Herbst przysposabiał nas poniekąd do studiów uniwersyteckich. Wprowadził zwyczaj seminaryjny przygotowania przez każdego z uczniów przynajmniej jednego referatu. Nasze opracowania... może i zawierały jakieś pasjonujące elementy, o ile wzięte były z dostarczonych przez profesora źródeł. Mój Boże! jakże naiwne były wnioski wyciągane pochopnie ze zgrupowanej małej ilości faktów, a niedopuszczalne uogólnienia! Żywo przypominały, *mutatis mutandis*, niektóre współczesne prace doktorskie, oparte na tzw. „wybranych przykładach”, tyje

² Stanisław Herbst został z czasem jednym z najwybitniejszych historyków Polski współczesnej. Opublikowano nieraz jego życiorys. Nie widzę więc potrzeby powtarzania tego, co znaleźć można m.in. w encyklopedii PWN czy Słowniku Biograficznym.

że „promotor” był znacznie krytyczniej nastawiony i tematy przez niego narzucane miały wyraźny sens. Usprawiedliwiała nas okoliczność, że były to pierwsze kroki na drodze do samodzielnego myślenia. Pamiętam do dziś tytuły niektórych z tych referatów, nawet urywki treści. Ktoś mówił o rozwoju przemysłu w Królestwie Kongresowym, inny o zadaniach kultury polskiej na kresach wschodnich. Zosia Kalisiewiczówna referowała dzieje stosunków polsko-litewskich. Bardzo mało znaną sprawę dróg handlowych, łączących Czechy z Bałtykiem, omawiał Stasiak Włodarczyk. W pracy o liberalizmie na kanwie związków ariańskich polsko-holenderskich wydedukował autor bardzo ryzykowny pogląd o wpływie polskich instytucji ustrojowych, znamienitych oryginalnymi pojęciami wolności, na idee Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Bolek Ostrowski opracował w historycznym rozwoju taktykę jazdy polskiej, podkreślając oryginalną jej właściwość — manewr kawalerijski. Mówił z niekłamany przejęciem, wzmacniając wypowiedzane uwagi gestami rąk. Uwzględnił też, modne w kołach ówczesnych strategów, współdziałanie kawalerii z bronią pancerną.

* * *

Niemало kłopotów miał z nami nowy wychowawca, profesor fizyki Eugeniusz Zdanowski (1884—1972). Złożyła się na to i przewlekła choroba profesora Szudejki i nie zawsze udane próby z angażowaniem młodych wykładowców. Co tu ukrywać! — mieliśmy o fizyce słabe pojęcie. Była po prostu luka w naszej wiedzy i w ósmej klasie sporo trzeba było nadrobić.

Zdanowski był inżynierem chemikiem i przybył z Żyrardowa, gdzie uprzednio prowadził gimnazjum matematyczno-przyrodnicze, — o wyrazistych rysach i ziemistej cerze, kulejący wskutek przebytej w dzieciństwie choroby Heinego-Medina, pracom badawczym (w domu miał małe laboratorium) i młodzieży oddany bez reszty. Gdy zbliżał się setny dzień przed maturą, zaprosiliśmy wychowawcę na tzw. studniówkę. Nie byliśmy pewni, czy przyjdzie... Przyszedł. Nie przestraszył się butelek na stole (prohibicja w mieście!). Wzniesiliśmy toast za jego zdrowie. „Panowie — przemówił do nas — wódka gubi narody, nie jednostki!” Nie trzeba podkreślać, że piliśmy z umiarem.

* * *

Wydarzenie, które chcę opisać, nastąpiło już po moim odejściu z gimnazjum i znam je tylko z przekazu ustnego głównego uczestnika. Trudno jednakże o nim nie wspomnieć, zważywszy okoliczność iż „wstrząsnęło” ośrodkiem pruszkowskiej edukacji. Było to w roku 1935-tym, w czasie sesji przedmaturalnej. Narada profesorów odbywała się na parterze. Na poddaszu usytuowana była zbrojownia, przysposo-

bienia wojskowego, na której wyposażenie składało się kilkadziesiąt karabinów typu Manlicher. Chłopaki wpadli na pomysł, aby w konferencyjnym pokoju zainstalować podsłuch, z odbiorem w zbrojowni. Inicjatorem i głównym wykonawcą był, któż by inny... Leszek Chełmiński. Współdziałał Janek Świrczewski i jeszcze kilku kolegów. Tuż przed sesją, woźny ale nie Stanisław, tylko ten drugi, ciągle śmiejący się i przestępujący z nogi na nogę, szepnął profesorowi Moczulskiemu, że widział Chełmińskiego majstrującego przy kaloryferze. Moczulski zapomniał o ostrzeżeniu woźnego i konferencja przebiegała zwykłym trybem. Chłopaki siedzieli na górze i z zapartym tchem słuchali wyroków na siebie. Odbiór był tak głośny, jakby ktoś krzyczał im do ucha, co jeszcze potęgowało efekt i przyspieszało bicie serca... W środku narady raptem Moczulski przypomniał sobie ostrzeżenie woźnego i zwrócił się do Dyrektora: „Panie Dyrektorze, coś tu podobno Chełmiński...” „Co? Chełmiński!” — ryknął Dyrektor i porwał się z miejsca. Na profesorów podziało to jak iskra elektryczna. Nastąpiło ogólne poruszenie. Nie wszyscy wiedzieli, o co chodzi, ale pojęli, że trzeba czegoś szukać... Rozbiegli się więc po izbie i obmacywali ściany. Dyrektor okazał się jednak sprawniejszy. „Drut!” — krzyknął. „Drut!” — powtórzył jak echo Werpachowski. I zaczęli ciągnąć. Ciągnęli, ciągnęli, i powoli zza kaloryferu wyłonił się mikrofon! Zdumienie ogólne. Na razie nie wyrażano oburzenia. Nie było czasu. Sytuacja wymagała szybkiego działania. Przewód od mikrofonu biegł dalej. Zrozumiano od razu, że wskazuje jakiś kierunek. Chwycono się więc tego drutu jak Tezeusz nitki Arjadny.

Na górze chłopaki zorientowali się, że jest niedobrze. Szybko wyłączyli odbiornik i zwinęli kabel. Drugą klatką schodową wydostali się na zewnątrz.

Później były jakieś dochodzenia, — ale o tym pisano już nie raz...

* * *

Trochę tych obrazków przytoczyłem z czasów młodości — tyle, ile zachowało się w pamięci. A zachowało się więcej, niż przypuszczałem. Na starość człowiek staje się dalekowidzem, — wyraźniej widzi to, co bardziej oddalone.

Tak to jest! — jak w słowach poety:

„To, co zostało — niewyraźnia mglistość,
A co przepadło — jako rzeczywistość!”

Październik 1985 roku

Michał Czapski